Rok XVI. We Lwowie, dnia 27. marca 1908. Nr. 13.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor. półroczna . 6 „ kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Encyklika Ojca św. Piusa X. o doktrynie modernistów.

(Ciąg dalszy).

Dlatego Papieże Pius IV. i tegoż imienia IX. kazali dodać w wyznaniu wiary i te słowa: »Przyjmuję z najmocniejszem przekonaniem tradycye apostolskie i kościelne i wszystkie inne zwyczaje i ustawy tegoż Kościoła«.

Nie inaczej jak o Tradycyi sądzą moderniści o najświętszych Ojcach Kościoła. Mówią o nich powszechnie z największą zuchwałością, że oni są wprawdzie najgodniejsi czci wszelakiej, ale w rzeczach krytyki i historyi okazują zupełną ignorancyę, dającą się wytłumaczyć jedynie czasem, w którym żyli. — Wreszcie i powagę samego urzędu nauczycielskiego Kościoła starają się wszelkiemi siłami zmniejszyć i osłabić, już to szerząc z przewrotnością świętokradzką zdania fałszywe o jego początku, naturze i prawach, już to powtarzając bez wahania oszczerstwa, miotane na niego przez przeciwników. Można bowiem słusznie powiedzieć o rzeszy modernistów, co pisał z najgłębszym smutkiem Nasz Poprzednik (Motu-pr. »Ut mysticam« 14. marca 1891): »Żeby mistyczną Oblubienicę Chrystusa, który prawdziwą jest światłością, podać w pogardę i nienawiść, rozpowszechniają o niej wśród ludu synowie ciemności niedorzeczne oszczerstwa i przekręcając zarówno fakta, jak i znaczenie wyrazów, nazywają ją przyjaciółką ciemnoty, protektorką niewiadomości wrogą światłu nauki i postępu«.

Wobec tego nie można się dziwić, że moderniści uderzają z największą nienawiścią i zjadliwością na katolików, walczących dzielnie w obronie Kościoła: niema obelgi, którejby im oszczędzali, przedewszystkiem jednak zarzucają im powszechnie ignorancyę i upór. Jeżeli obawiają się uczoności i siły dowodów, którymi katolicy zbijają ich zarzuty, milczą o tych dowodach, żeby je pozbawić skuteczności. To zaś ich postępowanie wobec katolików zasługuje na potępienie tem bardziej, że jednocześnie wychwalają bez miary wszystkich, którzy są po ich stronie i przyjmują z zachwytem ich książki pełne nowych poglądów; — im zuchwalej ktoś usiłuje dawną obalić naukę, pomiatając Tradycyą i urzędem nauczycielskim Kościoła, tem większym obwołują go mędrcem; a wreszcie — co musi grozą przejmować wszystkich dobrych katolików, — jeżeli kogoś Kościół potępił, tego obsypują nie tylko publicznie i solidarnie największemi pochwałami, ale go prawie czczą jako męczennika prawdy. Te zaś hałaśliwe pochwały i obelgi sprawiają, że młodzi, ogłuszeni i stropieni, bojąc się, żeby ich nie przezwano nieukami i pragnąc, aby ich uznano za mędrców, uwiedzeni ciekawością i pychą, oddają się całkiem modernizmowi w niewolę.

Ale to są już sztuczne sposoby, z których pomocą moderniści sprzedają swoje towary. Jakiegoż bowiem nie używają środka, żeby pomnożyć liczbę swoich zwolenników? W seminaryach duchownych, w uniwersytetach zasiadają na katedrach, które powoli zamieniają w stolice zarazy. Nauki swoje głoszą w kościołach z kazalnicy, choć może nie całkiem wyraźnie; z większą otwartością wypowiadają je na kongresach; narzucają je i wysławiają w instytucyach socyalnych. Wydają książki, dzienniki, czasopisma pod nazwiskiem własnem lub cudzem. Jeden i ten sam pisarz daje sobie niekiedy kilka nazwisk, żeby mniemana wielka liczba autorów oszukała niebacznych. Jednem słowem: próbują wszystkiego w czynach swoich, mowach i pismach tak, że mógłbyś ich uważać za ludzi, którym jakaś gorączka odebrała rozum.

A jakież to wszystko wydaje owoce? — Opłakujemy wielu młodzieńców, którzy piękne rokowali nadzieje i mogliby bardzo przysłużyć się Kościołowi — a którzy z dobrej drogi zboczyli. Ubolewamy także nad wielką liczbą innych, którzy wprawdzie nie posunęli się tak daleko, ale zatrutem niejako powietrzem oddychając, przyzwyczajają się do daleko swobodniejszego sposobu myślenia, mówienia i pisania niż katolikom przystoi. Są tacy pomiędzy świeckimi, są też wśród zastępu kapłanów, a nawet nie brak ich — czego mniej można było oczekiwać — w zgromadzeniach zakonnych. W studyach biblijnych trzymają się prawideł modernistów. Pisząc dzieła histo-

ryczne, wydobywają skwapliwie na światło, z widoczną jakąś rozkoszą — pod pozorem poszukiwania prawdy — to wszystko, co zdaje się plamić Kościół. Pobożnym podaniom ludowym usiłują kłam zadać wszelkimi sposobami, powodując się pewnym apryoryzmem. Gardzą św. Relikwiami, czczonemi od wieków. Próżne bowiem uwodzi ich pragnienie, żeby świat o nich mówił, co według ich zdania nigdy nie nastąpi, jeżeli to tylko będą powtarzali, co wszyscy zawsze mówili. Przytem zaś może wmawiają w siebie, że czynią przysługę Bogu i Kościołowi; w rzeczywistości obrażają Go bardzo ciężko, — nie tyle własnem działaniem, jak dążeniem swojem i skuteczną pomocą, której użyczają zuchwałym zamachom modernistów.

IX. Środki zaradcze.

Ten zastęp błędów tak ciężkich, nacierający skrycie i otwarcie, dzielnie usiłował powstrzymać słowem i czynem, zwłaszcza w zakresie badań biblijnych, Poprzednik Nasz, św. pamięci Leon XIII. Ale moderniści, jak już widzieliśmy, nie łatwo dadzą się zastraszyć tym orężem: udawając najgłębszą cześć i uległość, przekręcili słowa Papieża na swoją korzyść a czyny jego uznali za skierowane przeciw komuś innemu. Tak złe wzrastało z dnia na dzień. Postanowiliśmy zatem, Czcigodni Bracia, nie zwlekać już dłużej i skuteczniejszych użyć środków. Was zaś prosimy i zaklinamy, żeby z waszej strony nie zabrakło w sprawie tak doniosłej w najmniejszej nawet mierze czujności, pilności, męstwa. Czego zaś od was żądamy i oczekujemy, tego samego żądamy również i spodziewamy się od wszystkich innych duszpasterzy, od wychowawców i nauczycieli młodzieży duchownej, przedewszystkiem zaś od najwyższych przełożonych zgromadzeń zakonnych. (C. d. n.).

Nędza powszechna i niektóre z jej przyczyn.

Popatrzcie się wokoło: śmierć, nędza, ciemnota ogromnej większości narodu. Galicya jest obecnie tem, czem była przed 4 laty Irlandya, t. j. krajem najuboższym, najnędzniejszym na całej kuli ziemskiej.

Szczepanowski

(Nędza Galicyi w cyfrach).

Powszechnem jest dziś przekonaniem, że dobrobyt narodu przedewszystkiem zależy od tegoż stanu ekonomicznego. To znaczy, że im bogatszym jest cały naród, tem łatwiej żyć jego jednostkom. Jeżeli więc dobrą jest rzeczą dążyć do podniesienia dobrobytu swojego narodu, to równie dobrą i chwalebną starać się o mnożenie jego bogactwa. Pod tym względem panuje zupełna jedność myśli i to tak w obozach katolickich, jak antykatolickich. Zachodzi tylko drobna kwestya, na czem polega owo bogactwo narodu? Wszyscy ekonomiści zgadzają się co do tego na pozór, w rzeczy samej jednak wielkie są różnice między ich poglądami na tę sprawę. Rzecz sama przez się wydaje się niby bardzo łatwą do rozstrzygnięcia. Taką jednak nie jest, jak wogóle wszystkie sprawy społeczne, których dokładnie zmierzyć, czy też odważyć niepodobna. Weźmy naprzykład choćby jedną, najprostszą, należącą do ekonomii, a więc łatwiejszą od czysto społecznych. Oto w kwestyi ilości złota, będącego w posiadaniu jakiegoś państwa, lat temu kilkaset, a nawet i później uważano powszechnie, że to posiadanie jest probierzem bogactwa państwa i dlatego ze wszech stron starano się złoto zbierać do skarbców, aby go tam było jak najwięcej, choćby zupełnie bezużytecznie leżało. Dzisiejsi zaś politycy stoją na bardzo odmiennem stanowisku. A zdawałoby się, że dziecko potrafiłoby to rozstrzygnąć.

To też o sprawach tak ważnych, a zarazem trudnych, jakiemi są wszelkie zagadnienia społeczne, nigdy ani pisać, ani tem bardziej myśleć za dużo nie można. Sądzę też, że nikogo dziwić nie będzie, jeżeli zabiorę głos o jednej z nich w piśmie, przeznaczonem dla kapłanów katolickich. Owszem, jak Kościół katolicki po wszystkie wieki czuwał nad wszystkimi swymi wiernymi i starał się nietylko o ich dobro wieczne, lecz także o doczesną pomyślność swoich owieczek, bez której wiadomo, jak trudnem jest dążenie do zbawienia, tak też i kler katolicki nie może poprzestawać na samej tylko działalności w kościele i konfesyonale, lecz powinien wziąć się i do pracy społecznej. Wiele o tem już rozprawiano. Powtarzam to jednak dlatego, że nie wszyscy jeszcze zgadzają się na to w zupełności. Wielu ludzi, bardzo nawet wykształconych i zajmujących wybitne stanowiska w hierarchii społecznej, czyni ten niesłuszny zarzut klerowi katolickiemu, że miesza się w sprawy do niego nienależące, t. j. w społeczno-ekonomiczne i polityczne. Inni znowu wręcz oskarżają duchowieństwo o to, że zamało działa dla podniesienia materyalnego dobrobytu swego narodu. Pierwsi zwykle boją się tego, aby Kościół nie nabrał zbyt wielkiej powagi, a wylewają łzy krokodyle, twierdząc, że taka praca poniża kapłanów, którzy powinni zajmować się wyłącznie wielkiemi sprawami duchownemi. Inni znowu albo pragną, by duchowieństwo, oddając się zanadto sprawom doczesnym, zaniedbywało się w swoich obowiązkach właściwych, albo za wiele żądają od tegoż duchowieństwa i tak nieraz aż nadto już obciążonego pracą pasterską, sami zaś chcą z założonemi rękoma przyglądać się działaniu innych, krytykować je, a wreszcie (to rzecz najważniejsza) spożywać błogie owoce cudzej pracy.

Obecnie wciąż słychać biadania na nędzę narodu i wciąż się pisze, mówi, rozprawia, że przyczyną tej nędzy jest już to brak fabryk i zakładów przemysłowych, a przez to brak zarobków, powodujący tłumną emigracyę, już to brak zmysłu do handlu, już to rządy niedołężne, czy też podział na stronnictwa sobie wrogie, ucisk polityczny i ekonomiczny, a wywierany przez narody ościenne, a wreszcie rozluźnienie obyczajów, alkoholizm i hazard. Ale czynniki, tutaj przytoczone, są w znacznej części wynikiem a nie przyczyną pauperyzmu ogólnego; to jednak mało obchodzi większość dzisiejszych ekonomistów. Dla nich nie istnieje przyczyna ani skutek, tylko sam fakt. Pozwolę sobie być innego cokolwiek zdania. Nie chcąc rozstrzygać, które z tych zdań ma za sobą więcej znamion prawdy, pozostawiając to do innej rozprawy, wskażę tu na jeden moment, zdaje się zamało

dziś rozważany, a jednak stanowiący niewątpliwie jądro całej sprawy.

Dzisiaj wszędzie zarzucono zasadę, że obywatele są dla państwa, a nie państwo dla obywateli. Zasada to była powszechna w czasach państwa rzymskiego i stanowiła jakby oś, około której obracało się całe życie jednostek, jakby podstawę niewzruszoną prawa. W owych czasach każdy obywatel tyle tylko znaczył, ile korzyści miało zeń państwo i każdego marzeniem i punktem honoru było oddać się na służbę państwu. Od wieków już niby zmieniono ten fałszywy pogląd i teoretycznie wszyscy głoszą zasadę, że państwo jest dla obywateli i że ono powinno im służyć do ich doczesnego uszczęśliwienia. To ma być także zadaniem parlamentów, uchwalających ustawy dla dobra ludów. A jednak, gdybyśmy się przyjrzeli dobrze praktycznemu wykonaniu tego poglądu, to niestety musielibyśmy nieraz uznać, iż zasada Rzymian starożytnych pozostała wraz z ich prawem i niejednokrotnie znajduje wyraz w różnych rozporządzeniach. W armii naprzykład żołnierz znaczy mniej, aniżeli karabin, który nosi. Ucisk mniejszości przez większość, dziś wszędzie powszechny — czemże jest? Albo podatki tak uciążliwe, które płacić muszą nawet ludzie z głodu umierający? Albo ostatnie uchwały sejmu pruskiego w sprawach polskich i szkoła niemiecka i rosyjska? Stąd też płynie po większej części i to zaciemnienie rzeczy najistotniejszej, od której właściwie zależy uszczęśliwienie narodów doczesne, czyli ich dobrobyt.

Otóż nie po to mają żyć i pracować obywatele, aby ich naród stał się potężnym, lecz na to naród ma stać się wielkim i poważanym, aby jego jednostkom było dobrze.

Narody składają się z jednostek mniej lub więcej posiadających. Statystyki wykazują, iż nawet w krajach najbogatszych ledwie 10% ludności tyle ma majątku, ile wystarcza na prowadzenie życia bez troski o chleb powszedni. Reszta, t. j. 90% musi z wielkim trudem walczyć o swe potrzeby domowe.

W Prusach np. w r. 1895 — 87% ludności posiadało dochód mniejszy niż 300 marek rocznie. W Londynie, najbogatszem i najbardziej przemysłowem mieście na świecie, mówi Werner Sombart (Socyalizm a ruch społeczny w XIX. stuleciu str. 9), panowała po roku 1850 dalej bezmierna nędza. W tym Londynie z górą 100.000 osób otrzymywało pomoc materyalną (czyli tylu było żebraków), 190 milionów marek rocznie wydawano na cele dobroczynne, przeciętnie na 5 osób jedna umierała w przytułkach dla biedaków, w szpitalach i t. p.

Dr. Ludwik Psenner, prezes Związku chrześcijańsko-socyalnego w Wiedniu, tak się wyraża o nędzy w Londynie między innemi (Die Rettung aus dem socialen Elend IV. Theil). Między rokiem 1854 a 1864 umierało tu rocznie 2364 osób z głodu, a liczba ta podniosła się następnie do 7500, w całej zaś Anglii liczą głodowych śmierci rocznie 78.000! Ludzi pozbawionych zupełnie pracy i wszelkich środków do życia — żebraków, żyje w Londynie 380.000. Taką liczbę podaje »Neues Wiener Tagblatt« z 10. stycznia 1891 r. Wielki przemysłowiec, właściciel okrętów, Karol Booth, przeprowadził na własny koszt w 1886 r. ankietę, mającą na celu zbadanie warunków życia najbardziej upośledzonych warstw proletaryatu. Wywiad ten uwidocznił olbrzymią nędzę robotników. 22% ludności w Londynie, co stanowi 1,250.000 osób (w niektórych dzielnicach 60%) jest, jak się okazało, pozbawionych najelementarniejszych warunków cywilizowanego życia. (F. Faguof: Związki zawodowe w Anglii, str. 89). 32% ludności, t. j. przeszło 1½ miliona mieszkańców, podług obliczenia tegoż Karola Both'a pobiera mniej niż gwineę płacy tygodniowej (około 25 koron). W Paryżu 30 lat temu liczył ks. Mullois w dziele p. t. »Nędza Paryża«, około 80.000 ludzi, którzy z powodu braku przyzwoitego ubrania tylko w nocy mogli wychodzić na miasto, aby w śmieciach szukać pożywienia. Modeste w dziele p. t. »O nędzy we Francyi« (Sur le paupérisme en France) pisze: Z 6,750.000 domów, które liczyła Francya w r. 1835, 1,300.000 miały trzy otwory (1 drzwi i 2 okna), 1,800 000 dwa, a 350.000 tylko jeden otwór (drzwi). Woła dalej z przerażeniem: »lekarze mający do czynienia z ludem, powiedzą wam, ilu to Francuzów umiera z braku pożywienia!«

Blanqui, po zbadaniu departamentu Nord, który jest najbogatszą okolicą Francyi, doszedł do takich wniosków: »Departament du Nord przedstawia najboleśniejszy obraz straszliwej nędzy klas roboczych. Nędza rozpościera się tu obok niezmiernych bogactw, jeden żebrak przypada na pięciu mieszkańców po wsiach, w miastach zaś jeden na trzech«!

Wyżej przytoczony Dr. Psenner podaje, iż »Neue Freie Presse« w kwietniu 1890 r., oblicza 600.000 ludzi w Wiedniu takich, których największą troskę stanowi to, aby się utrzymać przy życiu.

Ten sam pisarz mówi: Przerażający obraz nędzy przedstawia Nowy York. W 1885 roku znaleziono tu 5755 trupów na ulicach. Z tych tylko 148 rozpoznano. Resztę pochowano na cmentarzu przeznaczonym dla nędzarzy. We Włoszech mieszka podług pisma wychodzącego we Florencyi: »Settimana di Firenze« (r. 1902), 200.000 ludzi w jaskiniach a w 1700 gminach jedzą chleb tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Żywią się jarzynami w najgorszym gatunku, jakiemi u nas bydło się karmi, skąd dostają różnych chorób, a szczególniej pellagry. Dr. Bonnino (starszy) z Turynu tak opisuje tę chorobę ubogich: wyrzuty na szyi, plecach, piersiach, rękach i twarzy, małomówność, zaduma, ból i zawrót głowy, zapalenie organów wewnętrznych, puchlina, silna skłonność do samobójstwa i do zbrodni, a wreszcie przedwczesna śmierć. W r. 1872 w jednej tylko prowincyi Brescia równocześnie leżało w szpitalach czternaście tysięcy i dwóch chorych na pellagrę [1]). Znaną jest rzeczą, że w całych Włoszech południowych mięso kocie należy do wielkich przysmaków, a ptactwa niema prawie wcale, bo wszystko, co się ukaże, natychmiast głodni ludzie złapią i zjedzą, nie skubiąc nawet, bo na to brakuje im czasu.

Po cóż jednak szukać nędzy u obcych, kiedy, jak się wyraża Dr. W. K. w rozprawie p. t.: »Słowo o naszych statystykach ekonomicznych« [2]), w naszej biednej

[1]) Ks. Bronisław Markiewicz: »Rzesze ubogich«. (»Powściągliwość i Praca« r. 1904, Nr. 1).

[2]) »Przegląd Powszechny« z r. 1888, tom. 17.

Galicyi tysiące ludzi rzekomo zdrowych głód cierpią — i tysiące rokrocznie z głodu umierają. Chyba dlatego podaje się statystykę zagraniczną, abyśmy zobaczyli, że jeżeli w państwach bogatych, jak Anglia, Francya i Niemcy, panuje taka nędza ogromna, to cóż dopiero mówić o naszej ubogiej, ustawicznie nękanej Polsce? To zdaje się niemożliwem, mówi dalej wyżej przytoczony autor, a jednak tak jest w rzeczywistości i łatwo się o tem przekonać każdemu, kto bliżej chce się przyjrzeć naszym stosunkom po wsiach, a nawet i miastach. Biorę tylko jedną klasę ludzi, bardzo u nas liczną, tak zwanych chałupników. Biedak taki, gdyż inaczej o nim wyrażać się trudno, ma żonę, kilkoro dzieci, często starych rodziców i całej tej gromadce musi dostarczać najniezbędniejszych potrzeb do życia. Ma on chatkę, ale też to cały jego majątek, bo liche sprzęty nie przedstawiają najmniejszej wartości. Chata ma jedną izbę. Dwie byłyby niesłychanym zbytkiem, gdyż zaraz zwiększyłby się podatek domowy. Niejeden z naszych ekonomistów, gdyby ujrzał w tej ciasnej, nizkiej, zadymionej i brudnej przestrzeni bez podłogi, duszących się 6 do 8 i więcej mieszkańców, musiałby powiedzieć, że to nora, a nie izba. Cały ciężar utrzymania tej gromady: starych ojców i dzieci, którzy chcą jeść, a zapracować na to nie mają sił, leży na barkach właściciela chałupy. Dziesięć palców — oto cały jego majątek oprócz chaty. Rzemiosła nie zna. Największą wartość ma praca jego w żniwa, najmniejszą w zimie. Żniwa trwają bardzo krótko, zima ciągnie się długo. Bez przesady można obliczyć jego zarobek dzienny przeciętnie przez cały rok na 50 halerzy. Praktyczni gospodarze mówią, że to jeszcze za dużo. Chałupnik więc taki zarabia mniej więcej w ciągu roku około 140 koron, jeżeli liczyć będziemy 280 dni roboczych. Z tych pieniędzy nietylko musi utrzymać całą swoją rodzinę, ale i podatki zapłacić. A tych jest sporo: domowy, dodatek krajowy i powiatowy na szkołę i drogi, indemnizacyjny, powiatowy, gminny i t. d. i t. d. Za pozostałe pieniądze musi odziać i wyżywić całą rodzinę.

W takiem gospodarstwie głód i chłód jest bezustannym gościem. Śmiało twierdzić można, że tu przez cały rok nikt nie naje się do syta. Musi jeszcze myśleć chałupnik i o drzewie na opał, które jest dla niego ogromnym ciężarem. Trzeba naprzód kupić je w lesie, odrazu za gotówkę — to już kilka koron, a dobrze jeszcze, jeżeli który z gospodarzy majętniejszych zechce je przywieźć z lasu nie za gotówkę, lecz za odrobek kilkodniowy. Wtedy musi się żyć z oszczędności, albo na kredyt. Mleko — to zbytek ogromny. Nie zjawia się ono w chacie prawie nigdy. Chyba z łaski sąsiadów niekiedy coś się dostanie. I cóż dziwnego, że wśród tych okropnych warunków dużo zimą umiera niemowląt z głodu i chłodu?

Na każdą zaś gminę można liczyć przeciętnie po pięciu chałupników, co uczyni na 6000 gmin w Galicyi 30.000. Licząc ich rodziny po 5 głów, otrzymamy 150.000 nędzarzy wiecznie głodnych, których drożyzna, brak pracy, choroba, setkami o śmierć głodową przyprawia.

Stefan Prószyński.

(Dok. nast.)

Wspomnienia z podróży.

(Poznań. — Gniezno. — Rogalin [1]*).*

Dokończenie.

Dzwon św. Wojciecha, umieszczony sam jeden w osobnej dzwonnicy, nazywał się dawniej Moskwą, bo z wojny w Rosyi przywieziony dzwon darował Władysław IV. do Gniezna. Ale pękł i dopiero sufragan Wojciech Stawowski kazał go przelać w Gdańsku kosztem 20.000 złp. Od r. 1692 zawieszony został ponownie, ale znów pękł, aż go prymas Teodor Potocki na nowo przelać kazał. Od r. 1726 zawieszony znów, jest chlubą i radością Gniezna. Liczy 4 łokcie średnicy, a wysokości 3 łokcie bez ćwierci. Serce waży 5 centnarów. Jest to najsilniejszy głosem i największy dzwon w całej Wielkopolsce.

Cmentarz kościelny obok katedry posypany był ziemią z Palestyny i Jerozolimy, sprowadzoną przez prymasa Jana Łaskiego († 1531). Dlatego nazywają go Bożą rolą. Na pamiątkę wystawiono piramidę murowaną z płytą marmurową i napisem, ale tę arcyb. Stablewski kazał wyjąć, aby nie zniszczała i umieścił w katedrze.

Z góry Lecha ogląda oko gmach seminaryjski, wystawiony w w. XVIII. na trzęsawiskach. Klerycy po 66 stopniach drapią się pod górę do katedry. Teraz w Gnieźnie jest IV. rok dla alumnów (pastoralna, moralna, ritus, homiletyka, katechetyka), III. pierwsze lata są w Poznaniu. W Gnieźnie zarząd seminaryum był w ręku ks. Misyonarzy św. Winc. a Paulo. Od lat może 70 i kilku sprawują go księża świeccy: regens, który niekiedy jest zarazem kanonikiem, a czasem biskupem sufraganem, i dwóch profesorów. Na swoje utrzymanie posiada seminaryum gnieźn. wieś Braciszewo pod Gnieznem, puszczoną w dzierżawę. Wielką bibliotekę seminaryjską uporządkował i katalog jej rękopisów drukiem ogłosił ks. profesor Trzciński.

W katedrze znajduje się biblioteka kapitulna, posiadająca także wiele cennych druków. Najcenniejsze jest archiwum kapitulne, mieszczące się obok kapitularza. Najdawniejsze dokumenta z tego prawdziwego skarbca ogłaszali drukiem: Piekosiński, Ulanowski i Krzyżanowski Stanisław, którzy w Gnieźnie nie raz jeden gościli.

Prawdziwy skarb posiada biblioteka kapitulna w postaci ewangieliarza z XI. wieku, zwanego mylnie mszałem św. Wojciecha. W katedrze jest grobowiec Dąbrówki, żony Mieczysława I. Na jednym z filarów umieszczoną jest marmurowa biała rzeźba Oskara Sosnowskiego z Rzymu, przedstawiająca ich oboje.

Sławne są drzwi spiżowe, wiodące do katedry z boku, od strony miasta. Przedstawione są na nich dzieje św. Wojciecha. Mają być darem Bolesława Krzywoustego. Z pomników szczególnie godny uwagi jest grobowiec arcyb. Zbigniewa Oleśnickiego, dłuta Wita Stwosza.

W kaplicy Potockich w katedrze spoczywają kości Krasickiego, który sławny jako pisarz mniej chlubne pozostawił imię jako biskup. Umarł i pochowany był w Ber-

[1]) Por. Nr. 6 i 8 »Gaz. Kość.« z r. b.

linie, skąd później dopiero kości jego do Gniezna przewieziono. Na ścianie pomnik pamięć jego przypomina. Takiego samego kształtu jest drugi na cześć arcyb. Ign. Raczyńskiego, Jezuity, zmarłego w Przemyślu, pochowanego w Starej wsi obok Jezuitów, skąd później zwłoki jego do Obrzycka w Wielkopolsce przeniesiono.

W Gnieźnie istniała szkółka elementarna przy katedrze, której uczniem był św. Stanisław Szczepanowski, była to ostatnia szkoła katedralna w Polsce. Szereg jej nauczycieli zamknął Wojciech Ćwikliński, kantor katedralny i nauczyciel († 1883), ojciec obecnego szefa sekcyi Dra Ludwika Ćwiklińskiego, który się na górze Lecha urodził i w cieniu katedry wychował.

W pobliżu katedry jest mały kościółek św. Jerzego, bez żadnych ozdób i pamiątek, tem szczególny: 1. że ma za patrona tego właśnie świętego, co jest rzecz w Polsce arcy-rzadka i świadczy o jego starożytności, 2. że dolna część ścian zbudowana jest z kamieni, w kostkę ciosanych, które podług tradycyi pochodzą z dawnej pogańskiej świątyni, w tem miejscu stojącej. Tu się odbywał chrzest pierwszych Polaków, stąd strącać miano do jeziora, teraz zarosłego i w łąkę zamienionego, pogańskie bałwany. Poszukiwał ich Edward Raczyński przed kilkudziesięciu laty, ale niczego się nie dokopał.

Gniezno za polskich czasów było małem miasteczkiem bez wyższych szkół, bez drukarni. Podług Holschego było r. 1800 w Gnieźnie dusz 3979. W ciągu wieku XIX. podniosła się zatem ludność sześciokrotnie, bo wynosi teraz około 24.000. Prymas-arcybiskup gnieźnieński od kilku wieków przestał mieszkać w Gnieźnie, siedział w Łowiczu, Skierniewicach, albo w stolicy państwa (Kraków a później Warszawa). Kanonicy także siedzieli w swoich dobrach, albo po probostwach dobrych, które chwytali; byli i tacy, co trzymali po kilka kanonii i siedzieli w innej kanonii, a nie w gnieźnieńskiej. Szkół wyższych w Gnieźnie nie było. Stąd miasto podnieść się nigdy nie mogło, bo ani obecność arcybiskupa splendoru mu nie dodawała, ani szkoły wyższe go nie ożywiały.

Z zakonów istnieli: 1. Miechowici, na miejscu od ludu Krzyżakami zwani, u św. Jana. Mieli oni szkołę, ale nie wyższą. Gmach po nich przeznaczono później na szkołę katolicką. Kościół romański po Miechowitach, św. Jana, stoi dotąd i znawcy interesują się bardzo jego budową, ale na pół jest zrujnowany i rzadko w nim msza św. się odprawia. 2. Franciszkanie konwentualni i Klaryski, posiadający wspólny kościół, dziś do użytku Niemców katolików oddany. Klasztor po Klaryskach, w którym żyła i umarła bł. Jolenta, zburzono aż do fundamentów, a na jego miejscu zbudowano czerwony gmach sądowy, w którym przed kilku laty sądzoną była głośna sprawa wrzesińska, a obok niego w pobliżu więzienie, o kilkanaście kroków od frontu kościelnego, tak że złodzieje z okien prosto zaglądają do wnętrza kościoła, gdy drzwi otwarte. Także atencya rządu dla Kościoła katol.! W tem więzieniu siedzieli podczas kulturkampfu biskupi.

Kto czyta o górze Lecha w Gnieźnie, mógłby myśleć, że ona sterczy nad miastem, jak góra zamkowa nad Lwowem. Tymczasem cała Wielkopolska i okolica Gniezna jest równiną zupełną, gdzie niegdzie tylko są pagórki. Do góry Lecha schodzi się w Gnieźnie z rynku dość spadzistą ulicą tumską na dół i dopiero na dole jest pagórek, lekko podnoszący się od ul. tumskiej, a z trzech innych stron mający wzniesienia znaczniejsze.

Gimnazyum w Gnieźnie istnieje od r. 1865 i nominalnie jest symultanne, de facto zaś protestanckie, bo chociaż większość uczniów jest polska i katolicka, profesorowie prócz kilku katolików są sami lutrzy; wykład, rozumie się nie wyłączając religii, niemiecki. Języka polskiego wcale nie uczą. Uczniowie starsi Polacy mieli stowarzyszenie celem uczenia się prywatnie języka i historyi polskiej. Wydała się sprawa: wielu uczestników więzieniem ukarano i ze szkół wydalono. Skorzystała z tego archidyec. lwowska, bo niektórzy z wydalonych do niej się udali i dziś wraz z innymi przymusowymi wychodźcami z Prus są w niej kapłanami. Dyrektor gimn. w Gnieźnie Martin, zmarły już, wzywał w sprawozdaniu gimnazyalnem, aby rodzice i uczniowie denuncyowali tych, którzyby do jakiegoś tajnego stowarzyszenia należeli. Podobnej pedagogicznej mądrości świat jeszcze nie widział, bo uczniowie zbierali się nie na pijatyki, ale dla rzeczy szlachetnej, do której w gimnazyum sposobności nie mieli.

W pobliżu poczty widać budynek parterowy czerwony, jak wszystkie budynki rządowe w Prusach, ze skrzydłem podobnem do jakiejś świątyni. Jest to loża masońska »pod uwieńczonym sześcianem« (»zum bekränzten Kubus«). Istnieje ona w Gnieźnie od r. 1804. Zrazu była mieszaną, za Księstwa warszaw. 1807 była polską, teraz jest wyłącznie niemiecką. W starym gmachu, który w r. 1904 w stuletnią rocznicę, zastąpiono nową budową, miał być Napoleon przyjmowany wedle tradycyi przez polskich braci masonów, którzy w nim widzieli zbawcę ojczyzny. Podwójne trójkąty, jak na żydowskich bożnicach, oraz uwieńczone kostki pozwalają przechodniowi odgadywać, że to jest siedlisko sekty.

Masoni w Prusach są bardzo liczni. Nietylko w większych miastach stołecznych, ale i w znaczniejszych na prowincyi mają swoje loże, które stoją pod wyraźną protekcyą rządu. Z Polaków dawniej ten i ów czasem jeszcze należał, komu u rządu o awans chodziło, ale teraz-niema nikogo, chyba tacy, co są Polakami tylko z imienia. Byle kogo tam nie przyjmą, bo przedewszystkiem jest to stowarzyszenie wzajemnej protekcyi.

Żydów także nie przyjmują, ale naprzeciw dworca kolejowego jest inna loża, amerykańska z nazwą Odd Fellows (»dziwni ludzie«). Tam są mniej wybredni w przyjmowaniu członków i przypuszczają do niej żydów.

Jawnie masoni przeciw chrześcijaństwu i katolicyzmowi w Prusach nie występują, ale co się dzieje na ich zebraniach, tajemnicą osłonionych, nikt nie wie. Rząd, który każde tajne stowarzyszenie ściga i karze, wobec masonów utrzymuje fikcyę, że oni nie są żadnem tajnem stowarzyszeniem, bo cele jego i ustawy rządowi są wiadome. Nigdy jednak w żadnem piśmie publicznem nikt jako mason wymieniony z nazwiska być nie może, w żadnej też bibliotece nie dadzą pism masońskich, chociaż mnóstwo mają oni swoich czasopism. Obok loży gnieźn. jest dom prywatny, w którym mieszkał przy końcu i umarł r. 1891 biskup Janiszewski, zmuszony przez rząd pruski

po kulturkampfie do rezygnacyi ze wszystkich godności, bo tylko pod tym warunkiem obowiązano się pensyę mu wypłacać. Znakomity mowca i autor, zajmował się on także specyalnie masoneryą i ogłosił o niej obszerną rozprawę w encyklopedyi kościelnej ks. Nowodworskiego.

Będąc po raz pierwszy w Wielkopolsce, zapragnąłem zwiedzić także sławną galeryę obrazów, założoną przez wielkiego miłośnika sztuki hr. Edwarda Raczyńskiego w Rogalinie. Uczyniłem to w towarzystwie proboszcza w Bninie, uczonego redaktora »Przeglądu Kościelnego« (dziś już niestety nie wychodzącego) X. Stanisława Okoniewskiego, za którego nader uprzejmą i prawdziwie braterską gościnność niech mi będzie wolno tutaj publicznie a serdecznie Mu podziękować!

Galerya w Rogalinie należy do najbogatszych w Polsce i trzeba tylko żałować, że mało kto ma sposobność skarby jej oglądać: jest tu Chrystus Rembrandta, który nie należy wprawdzie do najsławniejszych dzieł mistrza, ale jest niewątpliwie autentyczny i ma wartość ogromną. Najwięcej jednak znajdujemy tu dzieł malarzy współczesnych, z których znowu najlepiej reprezentowany jest Malczewski (Melancholia, Widzenie malarczyka, Trąba powietrzna, Ślepy z konikiem polnym, który ma wyobrażać zmartwychwstanie, Skrzypek i Muza ze skowronkiem i t. d.). Z innych bardzo cennych, świetnie malowanych obrazów wymieniam jeszcze tylko Dwie Hiszpanki Zuloagi, Sieroty z Amsterdamu Waay'a, Konie Besnard'a, Noc w Paryżu Aleksandra Gierymskiego, Juhasa z owcami St. Witkiewicza. Liczba obrazów jest tak wielka, że na ścianach obszernego pałacu niema już miejsca dla wielkiej ich części i dlatego zamyśla właściciel zbudować na ich pomieszczenie osobną galeryę w Rogalinie.

Pozwalam sobie jednak poddać światłej Jego rozwadze kilka argumentów, które przemawiają przeciw temu planowi, a za przeniesieniem galeryi gdzieindziej:

1. Rogalin leży w okolicy, do której rzadko kto z dalszych stron przyjeżdża, a przecież szkoda byłaby to wielka, gdyby i nadal mała tylko liczba sąsiadów, bliższych znajomych właściciela i turystów mogła zwiedzać te zbiory.

2. Nie można się wprawdzie dziwić, że właściciel nie ma ochoty z nimi się rozłączyć, ale powinienby to zrobić pro publico bono, żeby przyczynić się do podniesienia kultury artystycznej w Polsce. Zaskarbiłby on sobie wdzięczność całego narodu, gdyby obdarzył swoją galeryą jedno z większych miast naszych, a mianowicie ośmielam się zaproponować mu Lwów, który jeszcze jest tak ubogi w dzieła sztuki!

3. Ustawa o wywłaszczeniu może w każdej chwili pozbawić także hr. Raczyńskiego całej jego posiadłości dziedzicznej, więc tem bardziej nie jest rzeczą poradną budować w tym czasie osobny gmach dla zbiorów rogalińskich, nie mówiąc już o tem, że zniósłszy zasadę nienaruszalności własności prywatnej, może sejm pruski »dla obrony niemczyzny« konfiskować także polskie muzea!

W każdym razie są to racye, które bardzo zasługują na uwzględnienie. *X. P.*

Patrzmy głębiej!

(Ciąg dalszy).

Wspomniałem, że często nie wymaga się od szkoły, aby dała ścisłą wiedzę, aby postępowała w jej ocenianiu sprawiedliwie, ale — żąda się fałszywego miłosierdzia, przepuszczania z klasy do klasy za darmo, byle chłopiec »jakoś« maturę zdał i poszedł dalej w życie o żebranym chlebie, no i dobił się jakiejś rangi i pensyjki. Niepodobna, aby młodzież tego nie widziała. Nic więc dziwnego, że i ona od szkoły tego samego żąda, a nie widzi w niej instytucyi, w której ma rozwinąć swój umysł, zahartować wolę, uszlachetnić serce. — Wielka część młodzieży uczy się tylko »dla klasy«; — uczą się tak długo jakiegoś przedmiotu, dopóki nie byli z niego pytani, a gdy to nastąpi — potem obliczają, kiedy znów mogą być pytani, a tymczasem nie uczą się tego przedmiotu całkiem. — Oczywista — że potem nie mają o nim pojęcia. Dom to widzi — ale na błędność takiego postępowania nie zwraca uwagi a chłopiec tak się do tego przyzwyczaja, że uczenie się dlatego, aby się czegoś nauczyć, aby spełnić obowiązek, staje się dla niego czemś niepojętem; idzie na uniwersytet, na wykładach pokazuje się tylko po testę, do książki zagląda dopiero wtedy, gdy egzamin na karku. Wtedy wbija się pospiesznie materyał z dwóch lat do głowy, który również prędko wietrzeje z niej i zostaje się — pustka! Nic dziwnego, że znaczna część młodzieży — tak się ucząc — wynosi ze szkoły nałóg niespełniania obowiązku, fatalne wypaczenie charakteru na całe życie.

Idźmy dalej! Zaniedbanie obowiązku łatwo spotyka się z karą. Więc trzeba się z niem ukryć, a to powoduje nieszczerość wobec szkoły — kłamstwa i wykręty. I to na szkole się nie ograniczy, ale rozciągnie się na całe życie chłopca. A o tem, że to są wady, uniemożliwiające wpływ wychowawczy, nie może być dwu zdań.

Na kłamstwo szkolne patrzy się niejednokrotnie z pobłażaniem; gdy się słyszy opowiadania o szkolnych wykrętach i oszustwach, śmieje się z nich, zamiast je surowo skarcić. Wszak to niewinne studenckie wykręty! Że kłamstwa, to prawda! ale że niewinne, to nieprawda. Kto idzie kłamstwem przez szkołę, kto w niej do tego nawyknie, pójdzie niem i przez późniejsze życie. A przytem to grzech, a przytem to kłamstwo sprawiło, że nie nabyło się wiedzy, że nie wyrobił się charakter. To kłamstwo, gdy się w młodej duszy zakorzeni, uniemożliwi wszelki na nią wpływ w szkole czy poza nią. Ono złączy się z całem życiem towarzyskiem czy publicznem, stanie się podwaliną złego charakteru.

A przecież niestety wielka część młodzieży ma przekonanie, że bez kłamstwa żyć w szkole nie można, a to jest smutnym dowodem na to, że obowiązków szkolnych nie spełnia, bo kto je spełnia, ten kłamać nie potrzebuje, ani też uciekać się do oszustw szkolnych.

Obowiązki zaś spełnia tylko ten, kto rozumie zadanie szkoły, kto ją pojmuje idealnie. Musi więc całe społeczeństwo tak ją pojmować, musi wszczepić to pojęcie w młodzież, idącą do szkoły, a kłamstwa ustaną. Sama szkoła, sam katecheta nie dokona tego. Młodzież nigdy im co do tego nie uwierzy (bo wedle jej pojęcia

-szkoła jest w tem interesowaną a więc stronniczą), jeśli od wszystkich stojących po za nią słyszeć tego nie będzie.

Oto w głównych zarysach następstwa złego stosunku społeczeństwa do szkoły, jego wpływ na charaktery młodociane. Streszczę je jeszcze raz w kilku słowach: nieuznawanie przez uczniów niczyjej powagi, wyrobienie albo lichego oportunizmu, albo arogancyi, lekceważenie obowiązku, niechęć do karności, kłamstwo i blaga.

Jakież to smutne zestawienie! A przecież to nie teorya, ale fakt. Cóż dziwnego, że młodzież tym wadom podległa łatwo schodzi na drogi niemoralności, wpada w życie wyuzdane, staje się pastwą zgnilizny fizycznej i moralnej? Żadne środki zewnętrzne, żadne legitymacye studenckie temu nie zapobiegną; nie zaradzi złemu ani nawet najlepsza szkoła. Trzeba pójść głębiej! trzeba, aby się zmienił stosunek społeczeństwa do szkoły, aby młodzież po za nią żyła w atmosferze uszanowania dla niej, zrozumienia jej świętego zadania.

Złe życie młodzieży nie jest początkiem, ale niejako konkluzyą, wysnutą z tych wad, które zaznaczyłem. Trzeba więc złemu zaradzić u źródła. Trzeba, aby młodzież żyła powietrzem czystem, które wyrobić może tylko całe społeczeństwo. Prawda, że nieraz trzeba coś poświęcić! Trzeba znieść złą klasę syna, trzeba przyjąć bez szemrania jego złe świadectwo, trzeba zapłacić czesne, trzeba wreszcie z małym despotą przykrą nieraz walkę stoczyć. Ale to wszystko złe przejściowe! Przykrość przeminie, ale charakter chłopca na tem zyska! Ze szkoły wyjdzie on kiedyś nie marnym, liczącym na awans za możliwie najmniejszą ilość pracy funkcyonaryuszem, ale całym człowiekiem. A takich — jakżeż nam dzisiaj potrzeba! C. d. n. *Ks. Dr. A. Podwin.*

Nowy podręcznik dogmatyki szczegółowej.

Coraz częściej odzywają się w szerokich kołach inteligencyi naszej skargi na nauczanie religii a zwłaszcza jedno góruje w nich żądanie, a mianowicie to, że (jak pisze np. »Głos Narodu« w Nrze 117 z r. b. w art. p. n. »Reforma egzaminu dojrzałości«) trzeba »wpuścić tu więcej ciepła i uczucia na miejsce formalizmu podręczników, więcej uczuciowych pobudek niż rozumowanych argumentów«. Zarzuty te świadczą o wielkiem pomieszaniu pojęć, które zapanowało dzisiaj w sprawie religii nawet wśród katolików, zresztą rozsądnych i wierzących, a które w znacznej mierze zawdzięczamy teologom modernistycznym. »Religia« mówią »to rzecz uczucia i dobrej woli: rozum, logika, dowody, określenia dogmatyczne szkodzą jej raczej niż pomagają!« Zarzuty te skierowane są z natury rzeczy w pierwszym rzędzie przeciw nauce katechizmu i dogmatyki i domagają się gruntownej zmiany tej nauki, albo nawet zupełnego jej usunięcia.

Nie potrzebujemy tu zbijać obszernie tego pojmowania rzeczy, nie potrzebujemy powtarzać argumentów, które przytacza przeciwko niemu encyklika o modernizmie (por. N-ry 46 i 48 »Gaz. Kośc.« z r. 1907 i dalsze). Tu chcemy tylko stwierdzić, że błąd wspomniany znajduje poniekąd (naszem zdaniem) wytłumaczenie w podręcznikach zbyt suchych i ciężkich, które do szkół naszych wprowadzono. Wielu autorów, zwłaszcza Niemców, których i u nas uważano za godnych naśladowania, nie umiało się zniżyć do poziomu umysłowego młodzieży i pisało dla niej dogmatyki stylem abstrakcyjnym i zanadto przypominającym dzieła teologiczne, zamiast pouczać ją w sposób dla niej zrozumiały i pociągający w myśl wskazówki św. Augustyna: »ut veritas pateat, placeat, moveat«.

Braki te naszych podręczników dogmatyki ogólnej i szczegółowej i błędy, popełniane często w jej nauczaniu, wykazywano już wielokrotnie, a w szczególności także na I. kursie katechetycznym we Lwowie. Uczynił to bardzo dobrze w referacie swoim sam czcig. Autor nowego podręcznika »Dogmatyki szczegółowej«, który świeżo wyszedł z druku (Lwów. 1908), dr. Maciej Sieniatycki, mówiąc między innemi: »Nasze podręczniki wyglądają jak drewniane; sztywne, bez życia, nie budzą zainteresowania u młodzieży... Wszystkie terminy, sposób wyrażania się, okresy — wszystko to takie poważne, takie jakieś górne... ale to nie jest język, jakiego chłopcy używają w domu w rozmowie ze sobą nawet poważnej, nie jest to język, jakim są pisane książki świeckie, pojęcia nie są wzięte z ich życia, są jakieś nie codzienne, życie poprostu nie jest wciągnięte do nauczania religii« [1]).

Nie będę porównywał nowego tego podręcznika z innymi, bo gdybym to chciał zrobić, musiałbym napisać długą rozprawę, a nadto mógłbym wywołać zarzut, że reklamuję go kosztem innych, które mają także swą wartość i są także owocem długiej i sumiennej pracy. Stwierdzam więc tylko, że Autor trzymał się zasad, wyłuszczonych w referacie wspomnianym, że pisze jasno, po prostu, unikając terminów uczonych, że zamiast definicyi książek teologicznych podaje określenia katechizmowe, a zamiast dowodów niezrozumiałych dla chłopców 15-o i 16-letnich argumenty, które mogą do nich przemówić, pogłębić ich wiadomości religijne, umocnić ich wiarę i zachęcić ich do życia zgodnego z nauką Chrystusową. Dobrze m. zd. uczynił, pomijając znane »dowody z Pisma św. i Tradycyi«, które mogą być potrzebne w polemice z teologami protestanckimi, ale w szkole średniej są całkiem zbyteczne, a stają się utrapieniem dla uczniów, kiedy je mają wbić sobie w pamięć. Słusznie też pomija wiele kwestyi, nie mających znaczenia dla życia, które jednak wciągnięto w inne podręczniki, jak np. kwestyę, co jest materyą i formą sakramentu kapłaństwa [2]).

Wogóle jest to książka, która m. zd. przyczyni się niewątpliwie w znacznej mierze do podniesienia nauki religii w naszych szkołach średnich. Można jednak przewidzieć, że i ona spotka się z pewnymi zarzutami, na które tu uważam za potrzebne z góry odpowiedzieć: 1. niejednemu wydawać się będzie zbyt obszerną, bo liczy 205 stron, to znaczy, że trzeba będzie po 3 strony mniej więcej przeznaczać na godzinę. Temu zarzutowi nie odmówiłbym zupełnie słuszności: i ja bowiem sądzę, że niektóre skrócenia okażą się w praktyce koniecznemi; z drugiej jednak strony trzeba uwzględnić, że samo przedstawienie rzeczy jest prawie wszędzie tak przystępne, iż nawet słaby uczeń nie będzie mógł skarżyć się na obarczenie, jeżeli będzie miał 3 strony do przeczytania z lekcyi na lekcyę.

Po 2-gie. Znajdą się prawdopodobnie katecheci, których układ książki nie zadowoli dlatego, że niema w niej znamion, cechujących większą część podręczników szkolnych, że ona wygląda więcej na książkę do czytania. To jednak właśnie uważam za wielką jej zaletę, że Autor nie chciał zrażać uczniów do nauki religii pedanteryą niemiecką (mamy już zresztą trzy podręczniki bardzo dobre, podobnie napisane t. j. X. Dra Szczeklika Etykę, X. Jeża i samego X. Dra Sieniatyckiego »Dogmatykę Ogólną«).

Po 3-cie. Jest w książce tej kilka ustępów, które uczniom klasy 6-tej sprawiać będą trudności; ale temu już nie winien Autor, który jak najjaśniej i najprościej starał się wszystkie prawdy dogmatyki wyłuszczyć, ale plan nauki religii, obowiązujący dotąd (niestety!) w naszych szkołach średnich. Oto zamiast przesunąć kwestye filozoficzne, niezrozumiałe dla chłopców kl. 6-tej, na najwyższy stopień nauki (jak już uczyniono we Francyi, w Belgii, w Niemczech,

---

[1]) Por. »Gaz. Kośc.« z r. 1907, str. 197 i »Pamiętnik pierwszego kursu katechetycznego« str. 77.

[2]) Z niemałem zdumieniem wyczytałem w pewnej »Dogmatyce«, która nie jest do nabycia w księgarniach, ale jest podręcznikiem w jednym (o ile wiem) zakładzie wychowawczym dla dziewcząt, zdania tego rodzaju, jak następujące (str. 378): »Materyą jego« (t. j. sakr. kapłaństwa) właściwą wkładanie rąk — z formą towarzyszących mu modlitw Biskupa: »Oremus fratres« i »Exaudi«... Wielu dodaje jako materyę dotykanie świętych naczyń z formą towarzyszącą słów jednoczesnych Biskupa: »Weź moc« i t. d... Inni jeszcze uważają za materyę trzecie wkładanie rąk« i t. d. I tego wszystkiego mają się dziewczęta nauczyć?!

w Królestwie Polskiem i w samym Rzymie[1]) każe ten plan mówić o nich w klasie 5-tej i w pierwszych tygodniach klasie 6-tej, a więc i Autor musiał je traktować w swoim podręczniku, musiał dowodzić jakoś istnienia Boga, wolności woli, nieśmiertelności duszy i zbijać hipotezy Darwinistów. Uczynił to krócej i daleko przystępniej niż inni autorowie podręczników »Dogmatyki Szczegółowej«, a jednak uważam za rzecz wątpliwą, czy te wywody nadają się zupełnie dla kl. 6-tej i czy nie należałoby pewnych ustępów podręcznika wykreślić? W szczególności mam tu na myśli przypisek na str. 2: argument, że atomy nie mogą istnieć »same ze siebie, bo 1. gdyby tak było, to nie ma racyi, dlaczegoby takich atomów nie istniało daleko więcej; 2. gdyby atomy istniały same ze siebie, byłyby, jak tego filozofia uczy, niezmiennymi« i t. d., nie wyda się uczniom przekonywającym. I tu więc muszę powtórzyć zdanie, które wypowiedziałem już kilkakrotnie, że kwestye tego rodzaju powinny być przeniesione do klasy ósmej. *X. P.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Wybory do Rady miejskiej we Lwowie.

Nie minęło jeszcze roznamiętnienie, spowodowane agitacyą wyborczą do Sejmu, a już Lwów staje do wyboru aż 56 rajców miejskich. Powszechne są żale na gospodarkę t. zw. Strzelnicy. Z naszego stanowiska trudno nam wypowiedzieć swe zdanie. Jedno jest w oczy bijące, to zżydzenie miasta, spowodowane po części przynajmniej przez ojców miasta, należących do Strzelnicy. W każdej gałęzi handlu i przemysłu, wyszynku i t. p., w których konsens gminny jest konieczny, potrafili żydzi zająć stanowisko dominujące, gdzieniegdzie panują wyłącznie. A przecież partya katolicka i mieszczańska, jaką się Strzelnica mianuje, mogła i powinna była temu przeszkodzić! Prawda, iż t. zw opozycya szła w tym względzie na rękę rządzącej klice... i w imię niby równouprawnienia wypiera się stale katolików. Po raz pierwszy bierze jako stronnictwo demokracya narodowa udział w wyborach miejskich. Tłumaczy się, iż na liście przez siebie ułożonej nie umieściła Rusinów. gwoli zagwarantowania polskiego charakteru naszego miasta Ale ta lista, z jej poręki ułożona, posiada jeszcze jedną charakterystyczną cechę: oto na 56 kandydatów nie znajduje się żaden kapłan katolicki, gdy przeciwnie znajdziesz tam sporą liczbę „obywateli" wyznania mojżeszowego. Z tego się Endecya nie tłumaczy. Być może, iż chciała księży przed niestosownem uchronić towarzystwem. Ale wysługiwanie się żydom na nic nie zda się demokracyi narodowej. Mimo frazesy o „obywatelskości" żydów naszych, ci ku Endecyi nie grawitują, gdyż rozróżniczkowanie żydów na Polaków i Niepolaków wcale im na rękę nie jest. Nie uzyska demokracya narodowa nawet sympatyi w tem małem kółku t. zw. asymilatorów, grupujących się około „Jedności", której redaktor Dr. Merwin, tak przez „Słowo Polskie" reklamowany, przy niedawnych wyborach do Sejmu śmiało głosował na nienawistnych dem. narodowej Greków et cons. Żydzi w rzeczywistości znają tylko jedną jedyną „Jedność" — wszystkich żydów, celem opanowania wszystkich dziedzin naszego życia publicznego, w czem nasi im mimowolnie stale a skutecznie dopomagają.

Wahrmund bez końca.

Sprawa tego bądź co bądź oryginalnego profesora prawa kanonicznego na uniwersytecie w Insbrucku weszła w nową fazę z chwilą interwencyi zastępcy Ojca św. Nuncyusza w Wiedniu. Zdania co do tej interwencyi są w kołach nawet szczerze katolickich podzielone. Taki np. książę Liechtenstein uważa ją za chybioną. Oczywiście nie z zasadniczych powodów. Nikt z katolików nie wątpi, że Nuncyusz miał prawo uskarżać się na skandaliczne i dla Osoby Ojca św. oszczercze wystąpienie prof. Wahrmunda. Chodzi tylko o to, czy chwila była stosowna, czy nie lepiej było poczekać na skutki silnej agitacyi w samym Tyrolu, gdzie lud, dotknięty do żywego bezczelnem postępowaniem Wahrmunda, wypowiedział się w tych dniach w sposób niebywale energiczny o tym profesorze, oświadczając stanowczo, iż nie spocznie dopóty, dopóki zdeptanym uczuciom katolickim nie da się należnego zadośćuczynienia. Oparci o ten głos katolickiego ludu tyrolskiego chrześcijańsko-socyalni podjęli kampanię, która musi się skończyć zwycięstwem. Wystąpienie Nuncyusza w tej krytycznej chwili, zdaniem bardzo wielu, dało nader skuteczną broń do ręki liberalnym sferom i fraternizującym z nimi socyalistom, popisującym się obecnie mniemanem zagrożeniem niezależności Austryi przez zamachy Kuryi i t. p. frazesami. Przy tej sposobności można studyować całą obłudę prasy liberalnej i jej adherentów. Z początku posądzała ona otwarcie chrześcijańsko-socyalnych o spowodowanie interwencyi Nuncyusza w ministerstwie spraw zewnętrznych i w tym też kierunku sformułowano zarzuty przeciw tej „klerykalnej, ultramontańskiej" partyi. Kiedy się to jednak, dzięki rezerwie i zastrzeżeniom najpoważniejszych przewódców partyi nie udało, napadają obecnie te same dzienniki na to stronnictwo. twierdząc, że ono zadaje kłam swym hasłom katolickim. skoro w tak ważnej sprawie zastępcę Ojca św opuszcza! Manewr zbyt przejrzysty, by kogokolwiek zdołał w pole wyprowadzić.

Sprawa ta nie pozostanie zapewne bez echa i w parlamencie. Poruszono ją już w komisyi budżetowej i to w sposób najgodniejszy ze strony polskiej. Referent działu: „uniwersytety" w tejże komisyi, Exc. Biliński wymownie wskazał na jądro całej afery, zbijając frazesy przeciwników, jakoby tu szło o swobodę nauki i t. p. zdobycze nowoczesne. Z zadowoleniem notujemy ten poważny głos polski, choćbyśmy się nie ze wszystkiem. co w tej sprawie Dr. Biliński wypowiedział. zgodzić mogli. Liberalnym chodzi tu najwidoczniej o sklejenie bloku antykatolickiego i dlatego wszczęli cały ten hałas W gruncie rzeczy chce się stronnictwo katolickie z równowagi wyprowadzić i jego coraz bardziej wzrastający wpływ podkopać. To się i teraz nie udało. „Liberalny" minister oświaty p. Marchet oświadczył w komisyi, że trzeba czekać na wyrok sądowy. w sprawie broszury Wahrmunda. poczem tak określił swoje stanowisko zasadnicze (o którem wypowiemy zdanie swoje później): „Wolność badania naukowego musi objawiać się i rozwijać bez przeszkód na każdem polu, a więc także na polu religii, jednakowoż badanie owo powinno być wolnem od wszystkiego tego, co bez potrzeby staje w sprzeczności z głęboko zakorzenionemi w życiu uczuciowem wielu ludzi przekonaniami religijnemi".

„Co się tyczy katolickich związków studenckich, minister podniósł znaczenie wolności akademickiej jako najważniejszej podstawy uniwersytetów. Ubolewa, że młodzież akademicka niekiedy dała się porywać do odosobnionych wykroczeń, sprzeciwiających się wolności akademickiej. Minister oświadcza, że rząd stoi na tem stanowisku, iż wszystkim słuchaczom uniwersytetu, bez względu na narodowość i wyznanie, przysługują te same prawa. Rząd potrafi w porozumieniu z władzami akademickiemi zabezpieczyć uznanie tego równouprawnienia, jak to już ze skutkiem się stało ze strony ministra w sprawie związku studenckiego *Carolina* w Gracu".

Kolegium rosyjskie w Rzymie.

Jak donoszą dzienniki. ma niebawem powstać w Rzymie nowe kolegium, na wzór licznie tam istniejących, i to dla wychowania kleru rosyjskiego. Zakrzątał się około tego ks. Astromów, ostatni ponoś z Jezuitów białoruskich, obecnie rektor kościoła św. Stanisława w Rzymie jure caduco przez rząd rosyjski posiadanego. Ten zamiar stworzenia w Wiecznem Mieście seminaryum duchownego dla tu i ówdzie nawracających

[1]) Tego samego żąda Związek księży katechetów krakowskich w swoim projekcie planu nauki religii dla szkoły średniej zreformowanej (por. »Dwut. Katech.« Nr. 6 z r. b. str. 220). Projekt ten podamy w całości w jednym z numerów najbliższych).

się Rosyan, zainaugurowany przez Ex-Jezuitę Rosyanina, jest oczywista ze stanowiska katolickiego pochwały godny. Uczniowie tego kolegium mają uczęszczać na wykłady do Gregoryanum a zamieszkać w t. zw. „Domu polskim“, ongiś przez kardynała Hozyusza zajmowanym.

Charakterystycznem w tej wiadomości jest to, że uczniowie tego kolegium mają się rekrutować z Białorusinów i Litwinów, którym ponadto w samym kolegium wykładać się będzie historyę i literaturę rosyjską. Liczba kleryków na razie ograniczona do 20. Nieobojętną także byłaby wiadomość, kto kosztowne to przedsięwzięcie materyalnie podtrzymywać będzie; o tem jednak gazety milczą.

Rząd rosyjski a duchowieństwo.

Postawa kapituły wileńskiej w sprawie administracyjnie wydalonego ks. Biskupa Roppa i żądanego przez ten rząd zamianowania administratora, mocno irytuje rząd rosyjski. To też, o ile może, dokucza on i grozi najostrzejszemi karami. Obecnie krążą pogłoski, że stanowisko ks. prałata Sadowskiego, sekretarza kapituły wileńskiej, jest mocno zachwiane. Tymi czasy ks. prałat był już dwa razy wzywany do naczelnych władz krajowych, które mu uczyniły wiele zarzutów i oświadczyły, że pobyt jego w wileńskiej dyecezyi jest niemożliwy; zaproponowano mu przejście do kapituły mohylewskiej; w przeciwnym razie zagrożono administracyjnem wydaleniem. Ks. prałat Sadowski miał się niezgodzić na opuszczenie wileńskiej dyecezyi i na wykreślenie go ze spisu kleru dyecezyi wileńskiej.

Wedle nadchodzących z Rzymu wiadomości, toczą się tam układy, tyczące się także uregulowania sprawy ks. Roppa. Optymiści przewidują pomyślne dla Kościoła zakończenie tych pertraktacyi i widzą już wszystkie dyecezye obsadzone i zadosyćuczynienie dla ks. Roppa. Sądząc jednak z ujadania na Kościół katolicki takich pism półurzędowych, jak N. Wremia i t. p. trudno nam podzielać tych różowych nadziei. To, co się obecnie widzi w Rosyi, bynajmniej do nich nie uprawnia. Wzrost partyi panrosyjskiej i prawosławnej, przez rząd jawnie patronowanej, dobrym chyba znakiem nie jest.

Francya. Likwidacya zakonów. Gdzie miliard? Umiejętna taktyka. Ulmo i Thomas. Organizacya katolicka.

Sprawa likwidacyi zakonów, ujęta w ręce przez osobną komisyę, nie postępuje prawie wcale naprzód. Chodzi widocznie o nieskompromitowanie „braci“ zajętych przy likwidacyi. Wiadomo, że likwidacye przyniosły rządowi wielkie „minus“, jak również, że miliard kongregacyi, przeznaczony na emerytury rolnicze, rozpłynął się w rękach likwidatorów. Obecnie wynaleziono już sposób wytłumaczenia tego ciekawego a mocno kompromitującego zjawiska. Patent należy się p. Briandowi. Oto oświadcza się naiwnym a ciekawym, że miliord skradli — zakonnicy!

W związku z miliardem pozostaje też sprawa Thomasa i Dufaya, którzy okradali kościoły ze starożytności i skarbów sztuki i sprzedawali je antykwaryuszom. Niedawno zakończyła się ona wyrokiem trybunału przysięgłych w Limoges, który skazał obu głównych oskarżonych na więzienie i ciężkie roboty. Przypominamy, iż kiedy odkryto te kradzieże, prasa wolnomularska zgodnie twierdziła, że ci dwaj godni „bracia“ kupowali te antyki od księży, obawiających się zaboru ich ze strony rządu. Sztuczka nie udała się, bo jakoś dotychczas nie odkryto ani jednego księdza, któryby był w konszachtach z tymi wybitnymi framasonami. — Chciano także widzieć w niedawno zasądzonym kadecie Ulmo, najpospolitszym zdrajcy swej ojczyzny, ofiarę intrygi katolickiej na wzór Dreyfussa, ale i to się nie udało.

Wbrew często złośliwym a w każdym razie przesadnym wiadomościom prasy katolicko-niemieckiej o dezorganizacyi katolików francuskich, i tam widać postęp i to duży w porównaniu z tem, co było. Cały szereg kongresów katolickich zainicyował ściślejsze zrzeszenie się wierzących, po którem można się wiele dla sprawy katolickiej spodziewać. Niebawem obszerniej o tem napiszemy.

Ks. J.

Odezwa.

Towarzystwo wzajemnej pomocy uczestników powstania 1863/64. we Lwowie, ul. Lindego 2.

L. 84.

W wykonaniu jednomyślnej uchwały Wydziału Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania polskiego 1863/64., zwracamy się z gorącą prośbą o łaskawą pomoc i zasilenie funduszów naszego Towarzystwa, w celu zaopatrzenia potrzebujących towarzyszów broni, którzy, złamani wiekiem i niedolą, są dziś całkiem niezdolni do zapracowania na życie.

Są nadto do zaopatrzenia wdowy po zasłużonych uczestnikach powstania polskiego 1863/64, które znajdują się również w opłakanej niedoli, a mają tytuł do pomocy naszego Towarzystwa.

Jak stwierdza ostatnie sprawozdanie Wydziału Towarzystwa za rok 1907, sprawdzone przez stałą komisyę rewizyjną i zatwierdzone 21. z. m. przez Walne Zgromadzenie członków Towarzystwa, liczba uprawnionych do pomocy z Towarzystwa w ubiegłym roku znacznie wzrosła. Wydział, nie mogąc zaspokoić ich potrzeb nawet w skromnym wymiarze z bieżących wpływów, musiał uronić połowę funduszu zapasowego na dopełnienie niezaspokojonych potrzeb.

Wydział Towarzystwa jest w obawie, że w roku bieżącym, ze wzrostem potrzebujących, resztki funduszu zapasowego zostaną wyczerpane i że zabraknie Towarzystwu środków na ratowanie potrzebujących, jeżeli nie uzyskamy nowych zasiłków na pokrycie nieodzownych wydatków.

Pocieszamy się jednak nadzieją, że w społeczeństwie polskiem, gdy znajdowało się w ciężkich terminach, uwydatniała się zawsze ofiarność nawet u mniej zasobnych jednostek, a szczodrobliwość u przodujących u nas Instytucyj. Ufni jesteśmy, że dziś w krytycznem położeniu naszego Towarzystwa Społeczeństwo polskie pospieszy z nieodzowną pomocą dla ratowania w niedoli zasłużonych.

W tej wyjątkowej i naglącej potrzebie Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania polskiego 1863/64., ośmielamy się przedłożyć niniejszą prośbę do łaskawego uwzględnienia.

Lwów, dnia 19. lutego 1908.

L. Wiśniewski, Prezes. *W. Biechoński*, I. Wiceprezes.
Dr. Dulęba, II. Wiceprezes. *Piotr Kasprzycki*, Sekretarz.
Baliński, Skarbnik.

Bibliografia.

Żeromski St. „*Dzieje grzechu*“ (Powieść. 2 tomy 1908)

Powieści tej nie czytaliśmy i czytać nie myślimy, ponieważ nas zapewniają ludzie wiarogodni, że trzeba ją zaliczyć do literatury pornograficznej. Znając jednak jej treść z opowiadań i recenzyi, piszemy o niej słów kilka dla przestrogi czcig. Czytelników naszych, korzystając z doskonałej oceny romansu, którą zamieścił w »Gazecie Narodowej« (w Nrach 28—34 z r. b) p. Perłowski (pseudonim ?). a z której przytaczamy kilka wymownych ustępów:

»Od lat przeszło trzydziestu pornografia europejska posiada opisy Zoli i Żeromski stał się tylko jego kopistą. Nie ma nawet chwały pierwszeństwa. Czyż ideałem jego są tylko silne wrażenia i osławione »szarpanie nerwów«? Ależ człowiek, mający za sobą tak długą przeszłość artystyczną, powinien wiedzieć, że najgłębsze, najtrwalsze wrażenie wywiera nie okropność i nie ohyda, lecz jedynie wielka harmonia, doskonałe dostosowanie wrażeń do wrażliwości naszego ducha. On winien wiedzieć, że cios obuchem w czaszkę sprawia wrażenie nieskończenie słabsze, niż choćby pierwsza lepsza symfonia Beethovena. Taki cios ogłusza, zabija wrażliwość, a dzieło sztuki winno ją podnosić. On winien wiedzieć a jeżeli nie wie, to mu powiedzą lekarze, że nawet Ewa zapomni prędko o bolach porodu, a za to do śmierci może pamiętać jakichś słów parę i jakieś spojrzenie, które sprawiły, że pokochała Łukasza. A jeżeli on to wiedział i mimo tego napisał te kartki cyniczne, to złożył tem tylko

dowód niemocy talentu, gdyż talent jest twórczością, a tu wystarczyłby pierwszy lepszy podręcznik akuszeryjny«..

»Dogodzi on (ten utwór) chyba wszystkim. Dogodzi katolikowi, gdyż być może, że kryje się w nim myśl katolicka i nie obrazi ateusza, gdyż religia została w nim podeptana nogami. Człowiek rozpustny czytać go będzie z lubością, cnotliwy poczuje się pokrzepiony wymiarem surowej kary. Socyalista go zaaprobuje za potępienie dzisiejszego społeczeństwa, burżuj będzie się cieszył z ośmieszenia w nim socyalistów. Filozof uczuje radość na widok greckich cytat i Platona, nieuk wyuczy się na pamięć rozpraw Łukasza i od razu zostanie filozofem. Piszący młodzian zyska na odwadze i ogłosi własne poronione dzieło, analfabeta tym razem nic nie straci na tem, że nie umie czytać«..

»A cóż dopiero mówić o ludziach prostych, niedojrzałych, wrażliwych? Powieść ta będzie dla nich niewyczerpanem źródłem wiadomości, skarbnicą uczuć, kierowniczką wyobraźni, doradczynią na drodze społecznego życia. Każdy tu może skorzystać.

Ale może to nie czas na żarty?

Żeromski zajął w kraju naszym stanowisko tak wybitne, tak wyjątkowe, że ci, co zajmowali je przed nim, sądzili, iż spełniają jakieś posłannictwo, jakąś misyę podniosłą dla dobra i chwały ogółu. Wiemy, że takie dostojeństwo przyznanem mu zostało nie jednogłośnie. Twórca »Ludzi Bezdomnych« miał zawsze i to poważnych przeciwników. Ma ich jednakże każdy, nawet największy talent. Oni talentom nie szkodzą. Wbrew zastrzeżeniom mniejszości[1]) Żeromski umiał wzbudzić taki zapał, tak żywiołowy poryw tłumów gorących i młodych, że wszechpotężne »Vox populi« zwyciężyło wszystko i młody autor otrzymał namaszczenie.

Entuzyazm jest uczuciem wyłącznem. W uniesieniu dla nowej zdolności, próbowano poniżyć zasługi drugiego człowieka[2]), a zasługi te były ogromne. My, ludzie pokolenia mniejszego niż Mickiewiczowskie, wiedzieliśmy dobrze, że i ten człowiek jest mniejszym, niż nasi wielcy wieszcze. Mamy jednak prawo stosować do niego słowa, wyrzeczone przez Krasińskiego o twórcy »Dziadów«, wolno nam czuć, że »On był dla nas i żółcią i mlekiem i miodem«, że »z niego jesteśmy wszyscy«. Najmłodsi nie chcieli o tem słyszeć. Stała się krzywda i jemu i nam równocześnie.

Zachwyt szerokich mas zwrócił się wyłącznie ku Żeromskiemu. Młodzież ogłosiła go swym przedstawicielem, kierownikiem polskich myśli i dążeń. W krytykach pełnych entuzyazmu nazywano go mistrzem i geniuszem, zdolni pisarze przyznali mu nieznane dotychczas władze psychiczne, jakieś »czujące widzenie«, którem on rzekomo wzbogacił ludzkiego ducha. Jeden z naszych największych, najszlachetniejszych, pisarz pierwszorzędny, myślał o poświęceniu całego tomu jednej tylko powieści młodego tryumfatora. On miał za sobą tłum i eupatrydów. Czegoż mu jeszcze brakowało do chwały? Wszystkie oczy patrzały na niego. Tysiączna ciżba oczekiwała z ust jego tych słów, które usłyszeć trzeba koniecznie, żeby żyć, żeby módz istnieć w takiej nędzy i nieszczęściu, jak nasze. Jak »Dzieje Grzechu« ziściły te oczekiwania?

Spodziewaliśmy się myśli społecznej i słyszymy odpowiedź, że wszelka myśl społeczna jest nonsensem. Spodziewaliśmy się męskiej powagi, a w zamian dano nam lekceważenie. Spodziewaliśmy się obrazów naszej rzeczywistości a znajdujemy chorobliwe fantasmagorye. Spodziewaliśmy się ludzi i charakterów i oto mamy potworne widziadła. Wreszcie spodziewaliśmy się pokrzepienia, a ogarnia nas zaduch zgnilizny i śmierci. Takim jest bowiem sens każdej karty i każdego rozdziału. Pisząc swój niepojęty, samobójczy utwór, autor powtarza bezwiednie tylko jedno przeraźliwe słowo: »Nihil, nihil, nihil«. Co po takiej książce można jeszcze napisać?

Ani greckie cytaty, ani przytaczane całe angielskie poezye, ani ustępy z Ojców Kościoła, ani najdrastyczniejsze sceny nie zmienią przekonania czytelników, że podczas tworzenia tej książki myśl autora była w uśpieniu. Ale co robiło jego sumienie? Niedawno podczas jednego z tych dramatów, które winne na wskroś nas rozbudzić, jakaś jędza podała człowiekowi uwięzionemu zamiast wody butelkę z atramentem. Postępek straszny, ale szalona kobieta była przynamniej przekonaną, że ten nieszczęśliwy, omdlewający z pragnienia jest wyzyskiwaczem i wrogiem ludu. Wybaczyć jej trudno. Zrozumieć od biedy można. Dlaczego jednak Żeromski tak samo postępuje względem własnego społeczeństwa? Tego nie rozumiemy i tego nie wybaczymy.

On sponiewierał nadzieje nasze, zlekceważył nasze zaufanie i poniżył nas swoim niskim utworem. Największy talent może się wyczerpać i wydać rzeczy słabe, a wówczas ludzie uczciwi milczą. Ale ta mroczna powieść jest nietylko słabą, ona jest przedewszystkiem szkodliwą i złą..

Praca stała się dlań pańszczyzną; on pisze z wysiłkiem, z największem umęczeniem, z nieprzemożonym wstrętem do własnego dzieła. Bo, że tak jest, to głosi każda karta tej nieszczęsnej książki. Taka twórczość jest dla artysty piekłem wstydu i upokorzeń. Więc jeżeli autor wyzna to sam przed sobą, jeżeli ma jeszcze choć ślad artystycznego sumienia, to niech zrozumie, do czego przywiodło go odstępstwo od dawnych wierzeń i niech zapłacze nad swym wielkim, zmarnowanym i splugawionym talentem«.

[1]) Por. art. p. n. »Stefan Żeromski. Powieść o udałym Walgierzu«. w Gazecie Kość. z r. 1907 str. 16. *Przyp. red.*

[2]) Mowa tu o Sienkiewiczu. *Przyp. red.*

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Odznaczony ks. Ferdynand Majewski proboszcz w Tłumaczu Rok. i Mant.

Zmarł w klasztorze OO. Bonifratrów w Zebrzydowicach ks. Dominik Czyż, kooperator w Zimnowodzie, dnia 25. marca b. r. R. i. p.

Dyecezya przemyska ob. łać.

Prezentę na opróżnione probostwo w Rokietnicy otrzymał ks. Marcin Murdza, ekspozyt w Pohorce.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.